NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 2 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV.
ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny).

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski.

Główny skład na Królestwo Polskie: W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6.

Prenumeratę przyjmuje **W. Biernacki i Spółka w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 6, telefon Nr. 507—23,** oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi. — **Ceny ogłoszeń na Królestwo Polskie:** za wiersz jednoszpaltowy pod tekstem 50 kop. — na ostatniej stronie i w miejscu specyalnie zastrzeżonem 15 kop. — ogłoszenia zwykłe 10 kop.

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok XII. **Kraków, 28 sierpnia 1915.** **Nr. 35.**

Jak w roku 1812.



Miasto Urzędów w Lubelskiem, spalone i zniszczone doszczętnie przez uciekających Rosyan.

Jak w roku 1812.

(Do illustracyi tytułowej).

Rosyanie opuścili już teren Królestwa Polskiego. Gnani i pędzeni przez sprzymierzone armie, uciekali w popłochu, aby uratować swe armie przed ostatecznem zniszczeniem. Nie mogąc stawić oporu nacierającym armiom, chwycili się wypróbowanej metody walki z roku 1812. Aby opóźnić pościg, palono doszczętnie wszystko, co miało jakąkolwiek wartość, palono całe wsie i miasta, a ludność pędzono przed sobą.

Tak się odbywał ostatni odwrót Rosyan z ziem polskich. Opuścili Polskę — pozostawiając za sobą pustynię... Tak tragicznie dla ludności Królestwa Polskiego skończyły się umizgi Rosyan do Polaków i rzeczywiste ich kokietowanie pewną względnością i łagodnością na początku wojny.



Urodziny cesarskie w Krakowie: Ołtarz polowy na Błoniach. Obok zdobyte na Moskalach karabiny maszynowe.

Według relacyi korespondentów skutkiem tak barbarzyńskiego odwrotu Rosyan ucierpiało najbardziej Lubelskie i Radomskie. Jakie działy się przytem sceny, tego nie opisze żadne pióro. Sucha relacya jednego z korespondentów o odwrocie Rosyan z Wierzbnik w powiecie Iłżeckim daje pojęcie o ogromie nieszczęścia, jakie dotknęło ludność w Królestwie Polskiem.

Rosyanie zjawili się tam nagle w nocy, zbudzili mieszkańców i kazali im natychmiast opuszczać mieszkania. Tak, jak kto stał, nieraz w bieliźnie, musiał opuścić mieszkanie. W ten sposób wygnano za miasto 6000 osób bez różnicy wieku, płci i wyznania, pędząc ich przed sobą nahajkami pod konwojem bagnetów. Podczas przeprawy przez Wisłę utonęło szesnaście osób, w tej liczbie dziewięcioro dzieci. Mienie spustoszonego miasteczka zabrano na podwody i wywieziono do obozów rosyjskich, a samo miasteczko podpalono ze wszystkich stron. Dziś Wierzbnik stanowi tylko kupę gruzów.

Taki los spotkał cały szereg miast i wsi Królestwa Polskiego. Na tytułowej naszej illustracyi widzimy właśnie zburzone w ten sposób przez uciekających Rosyan miasteczko Urzędów w Lubelskiem. Ludność wypędzono, a z miasta zostały tylko ruiny i zgliszcza.

Niejedna wieś, niejedno miasto ocalało tylko dzięki temu, że Rosyanie w pośpiechu ucieczki przed nacierającemi wojskami nie zdążyli już dokonać dzieła zniszczenia. Według sprawozdania pewnego oficera Legionu, jeden tylko jego oddział, ścigający Rosyan, po drodze do Lublina ocalił dwanaście wsi, wypędziwszy z nich Moskali z ich beczkami smoły i nafty, któremi podpalali wsie i miasta.

Zaznaczyć również należy niezwykły hart ducha chłopa polskiego. Choć spalą mu wszystko — dobytek i chałupę, choć pędzą go pod groźbą nahajek i bagnetów — korzysta z każdej sposobności i ucieka po drodze do lasu, aby stamtąd dostać się chyłkiem do swej spalonej sadyby. Idące w pościgu za cofającymi się Rosyanami wojska spotykały całe rzesze tych polskich uciekinierów, którzy zdołali zbiedz z niewoli rosyjskiej i szli z powrotem do swych zniszczonych wsi — do swych... zgliszcz! Szli jednak szczęśliwi, że wracają na ojczysty zagon — aby własną pracą odbudować to, co legło w gruzach przy niszczycielskim odwrocie Rosyan...

Urodziny cesarskie w Krakowie.

Ośmdziesiątą piątą rocznicę urodzin naszego Monarchy obchodzono w roku bieżącym w Krakowie uroczyściej, niż po inne lata.



Urodziny cesarskie w Krakowie: Podczas podniesienia.

Już po godzinie czwartej rano obeszła ulice miasta orkiestra wojskowa, grając marsze, z kopca zaś Kościuszki odezwały się salwy armatnie. Po godzinie szóstej zaczęły się schodzić na Błoniach oddziały armii, przybrane w uniformy polowe, z listkami dębowymi u czapek.

Ołtarz polowy, przy którym mszę św. odprawił kapelan wojskowy ks. Bielek w licznej asyście, ustawiono w pewnej odległości od deptaku, naprzeciw toru wyścigowego. Obok umieszczono karabiny maszynowe, zdobyte na Moskalach.

Po obu stronach od ołtarza znajdowały się namioty dla reprezentantów władz, gości i rodzin oficerów. Za namiotem zajęli miejsce weterani wojskowi ze sztandarem, załoga w kilku wyciągniętych szeregach w pewnem oddaleniu przed ołtarzem. Na lewem skrzydle stanęły trzy baterye dział rosyjskich, zdobyte przez nasze dzielne wojska.

O godzinie 9 rano przybył na Błonia komendant krakowskiej twierdzy eksc. Kuk ze świtą. Za dawną rogatką Wolską oczekiwała go generalicya z marszałkiem porucznikiem Nastoupilem na czele. Stąd udano się przed front, gdzie dowodzący załogą, jenerał Hamm, zdał raport, a orkiestry odegrały hymn państwowy.

Podczas nabożeństwa oddano przepisane salwy, z kopca Kościuszki odezwały się strzały armatnie.

Po mszy św., błogosławieństwie i „Te Deum“ odbyła się defilada całej załogi przed eksc. Kukiem i jeneralicyą.

Na Błoniach zgromadziły się tysiące publiczności, wzorowy porządek utrzymywała policya cywilna i wojskowa pod energicznem kierownictwem komisarzy Wilgi i Dankiewicza.



Urodziny cesarskie w Krakowie: Goście i korpus oficerski.

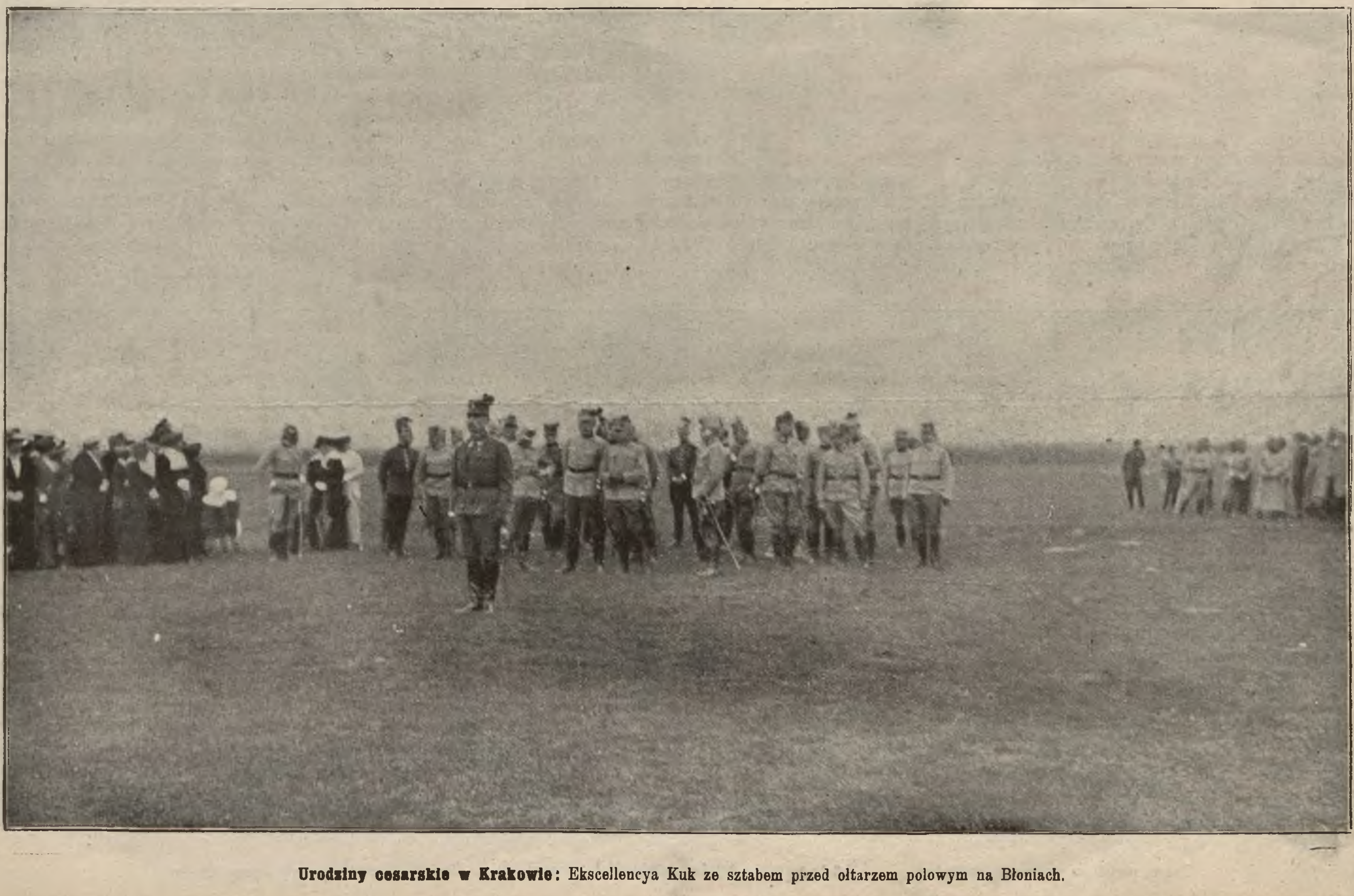


6-ty pułk Legionów polskich w obozie: Na tle namiotów kancelaryi major Rylski (X), major Wyrwa (XX) i lekarz dr. Buchowiecki (XXX).

6-ty pułk Legionów polskich w obozie.

W Rozprzy, miasteczku pod Piotrkowem i w okolicznych wsiach kwateruje nowotworzący się szósty pułk Legionów polskich, pozostający pod komendą majora Rylskiego. Rozprza przybrała wygląd garnizonowego miasta polskiego; we dworze mieści się kancelarya pułkowa i mieszka sztab, w Rynku kancelarya pierwszego batalionu i odwach, w urzędzie gminnym ekspozytura żandarmeryi polowej Legionów polskich. Każdorazowy oficer inspekcyjny przestrzega w miasteczku porządku i stosowania się ludności do wydanych zarządzeń. Samo miasteczko i okoliczne wioski pełne wesołego gwaru żołnierskiego, na okolicznych błoniach odbywają się ćwiczenia poszczególnych oddziałów.

Komendant pierwszej kompanii nowego pułku, porucznik Milan Hora, z rodu Czech, z zawodu lekarz, który przebywszy obie wojny bałkańskie, a w czasie obecnej wojny kampanię zimową częściowo w służbie sanitarnej Legionów, częściowo w linii, obecnie jako liniowy oficer łączy umiejętnie wykształcenie wojskowe z zasadami hygieny. Na słonecznem, piasczystem wzgórzu pod szpilkowym lasem w doskonałych warunkach terenowych urządził dla swej kompanii obóz pod namiotami. Pod namiotami mieszka on i wszyscy oficerowie, w namiotach specyalnie celowo urządzonych mieści się



Urodziny cesarskie w Krakowie: Ekscellencya Kuk ze sztabem przed ołtarzem polowym na Błoniach.





Pierwszy pluton ze swym komendantem. **6-ty pułk Legionów polskich w obozie:** Drugi pluton ze swym komendantem.





Po zajęciu Warszawy: Pierwsi Legioniści z Warszawy przybywają do Piotrkowa.

6-ty pułk Legionów polskich w obozie: Widok ogólny obozu.

kancelarya kompanii, magazyn. Dumą kompanii jest menaż oficerska, urządzona częściowo w ziemi, a wygodniejsza od niejednego gabinetu restauracyjnego.

Nowozaciężni żołnierze równocześnie z wojskowem wyszkoleniem uczą się życia w polu, uczą się obozowej karności i przywykają powoli do niewygód, które w znacznie wyższym stopniu czekają ich w strzeleckich rowach. O świcie rozpoczyna się już ruch w obozie. Kuchnia przygotowuje śniadanie, żołnierze szybko ubierają się, wychodzą na gimnastykę, po śniadaniu idą w pole na ćwiczenia, po krótkim wypoczynku po obiedzie znów ćwiczenia, poczem kolacya. Po kolacyi ożywia się obóz gwarem rozmów, śpiewów. Żołnierze zżywają się ze sobą, z dniem każdym coraz bardziej czują się towarzyszami broni. Po wieczornym capstrzyku o godzinie dziewiątej obóz układa się do snu, jeszcze czas jakiś słychać przyciszone rozmowy pod namiotami, wreszcie cisza zalega obóz.

Wzorowo jest urządzony obóz pierwszej kompanii szóstego pułku, z której nadesłano nam szereg zdjęć, a na wzór obozu pierwszej kompanii urządziły swe obozy wszystkie inne kompanie pułku.

Prócz widoku ogólnego obozu na jednym ze zdjęć widzimy majora Rylskiego, dowódcę i organizatora pułku, oraz majora Wyrwę, dowódcę I. batalionu.

Należy zaznaczyć, że komendantem pierwszego plutonu jest podporucznik Drążek, drugiego podchorąży Szwarcer. W tym plutonie jest kilkunastu Legionistów z akademickiem wykształceniem i ten też pluton jest wzorem w kompanii, chociaż i inne nie ustępują mu ani pod względem karności, ani wyćwiczenia. Komendantem trzeciego plutonu jest podchorąży Lindenberg, czwartego podchorąży Dziurzyński. Sierżantem kompanii jest Krakowianin pan Jagielski.





Trzeci pluton ze swym komendantem. **6-ty pułk Legionów polskich w obozie:** Czwarty pluton ze swym komendantem.

JÓZEF LASOŃ.

ŚMIERĆ ARTYSTY.

(Prawo przedruku zastrzeżone.)

...Rozszalałe, krwi chciwe, mordu, pożogi, zniszczenia — żywioły sprzęgły kolczastemi ogniwami świat... tysiące armat z paszcz swych rozszarpujące rzuca pociski, miliony karabinów pluje bezustannie stalowemi kulami, rozszarpane w powietrze lecą strzępy ciał ludzkich, zwierząt... toż wojna... I cóż jest życie ludzkie?... nic!...

— — — — — — — — — — — — —

Rozkwitłe malwy mienią się w słonecznym blasku, dojrzałego lata kwiat, gdy gałązki drzew owocowych uginają się pod ciężarem z kwiatu powstałych owoców.

Żółty słonecznik skromnie opuszcza koronę swą ku ziemi, jak człek jesienną życia przebywszy erę, w zimowy wchodzi letarg, głowę zwiesiwszy ku ziemi.

Dłoniasty liść winogradu w altanę wkręcił się, bluszcz skromny wyprzeć chce, gdyż owoc da... bluszcz nic...

Wiosenne dawno obumarły kwiaty, łodygi-liście sterczą na grządkach, rzadko się zjawi biały narcyz, w sztucznej hodowany cieplarni, skromny fiołek liść bezwonny jeno ma.

Lato... lato... niedługo jesień-macocha zawita, zabierze twój plon i owoc i kwiat, strąci z drzew liście, obedrze krzaki z zieleni, pomrozi kwiatów łodygi i odda staruszce-zimie na sen... na dobry wypoczynek-sen... by z wiosną wstać!

Lato... lato...

— — — — — — — — — — — — —

Przez ażurowe, białe firanki promienie słońca przedzierają się, tworząc mozajkę na wyszklonej posadzce salonu. Wietrzyk powiewny przez rozwarte okna wpada, figlarnie kołysze ażurową zasłoną, łamią się drobne promyki słoneczne, mieni się mozaika na szklącej powłoce posadzki.

Stare portrety przodków na ścianach pokoju rozwieszone, żywemi zda się oczami patrzą, w cieniach pokoju ukryte.

Mały salonik... niebieską makatą wybity, niezapominajki kolorem przetkany, żywo odbija się od czarnych mahoniowych sprzętów.

Na rozwartym fortepianie nuty w nieładzie rozrzucone, pomiędzy niemi na pół zwiędłe kwiaty. Ciemno pąsowe róże w dzbanach wschodnich wetknięte na marmurowym stole stoją, gdzieniegdzie pomiędzy niemi biała, alabastrowej barwy róża żywo się od nich wyróżnia.

Stary zegar monotonnym ruchem wahadła oznajmia przebyte, przeżyte sekundy życia, czasu, który nigdy nie wraca...

Pluszowe kanapki, zaszklona szafa z książkami, stoliczek toaletowy, kilkanaście drobiazgów na biurko rozrzuconych dopełniają umeblowania pokoju...

— — — — — — — — — — — — —

Ostrożnie wniesiono go do niebieskiego saloniku, na puszystych złożono poduszkach, zasłaniając starannie okno roletami.

Wampir wojny, nienasycony w chciwości, trudami wojny i znojami ostatki sił wysysa, jeśli krwi z rozszarpanych żywych członków nie pije... Pod marsowe swe skrzydło objął wszystko, i młode i stare, artystów, poetów, wielkich i małych ludzi, oderwał od codziennych zajęć, nadobną Muzę zapędził w kąt, amorowe figle swawoli i rozpusty rozszerzył na świecie... Wszystko złe, co zatraca świat i ród ludzki...

Zadumana Muza, opuszczona od wielbicieli, rozpaczliwemi oczyma patrzy na rozszalałego Marsa, Wenera posłów z podzięką śle, Bacchus na uczty zaprasza... Ludzie w stada zwierząt, krwi chciwych zmienieni, chytremi, krwią nabiegłemi oczyma zdala na siebie spoglądając, ślą pociski stalowe bez przerwy.

Niknie ci przed tem wszystkiem piekło dantejskie, żywe męki Tantala widzisz i cóż? Chyba nie będziesz błogosławił!...

— — — — — — — — — — — — —

Trudem i znojem wojny zemdlałego artystę przewieziono z placu boju na życzenie rodziny. Umieszczono go w pokoju własnym, w którym jako muzyk młodość swą przeżywał i pierwsze kroki do karyery i sławy muzyka przygotowywał.

Pomimo starań lekarzy chory nie przychodził do przytomności, gorączka nie przestawała trawić osłabionego ciała.

— — — — — — — — — — — — —

Zapadał wieczór.

Krwistemi plamami zaczerwieniło się niebo od powoli znikającego za górami słońca, coraz słabiej zlewającego koloryt swój z lazurowym, pogodnym horyzontem.

Padły czerwone odblaski słońca do pokoju chorego Ryszarda, delikatnie objęły twarz, która w tym blasku jeszcze więcej nabrała żółtej, grobowej barwy.

Zaciśnięte zęby, pokurczone rysy wskazywały na mękę chorego. Pot kroplami występował na wyniosłem czole, jak gdyby świeże krople rosy na ruń zieloną, lub barwną koronę kwiatu upadły. Pierś podnosiła się gwałtownie do góry, opadając, przez gardło wydawała syk jakiś dziwny, jakby ostatnie rzężenie konającego. Czasami twarz rozjaśniała się, usta krzywiły się delikatnym uśmieszkiem, grymasem, pomieszanym z bólem i cierpieniem.

Spieczone usta szeptały jakieś niezrozumiałe wyrazy, pieszczotliwie imię jakieś wywoływały. To znów rysy twarzy zmieniały się, kurczyły, przerażenie malowało się na twarzy.

— — — — — — — — — — — — —

...Fala ludzka płynie najeżona ostrzami bagnetów, twarze nabrały srogości, zaciętości, z ochrypłych gardeł wyrywa się przeciągłe „hurra“. Potknie się jeden i drugi, ostatni okrzyk wyda, na ciało drgające nadepcze but towarzysza, skrwawi wykrzywioną bólem twarz, kopyta końskie potrącą w pierś upadłego. Rozszalałe pociski padają, wyrywają prących naprzód żołnierzy, krew chlupnie w twarz, zaczerwieni siwy mundur. Tu jakiś o potężnych barach żołnierz, kolbą uderzywszy przeciwnika w czaszkę, głowę rozbił, mózg bryzgnął, oblepił mu twarz... Siwiejącego już żołnierza rosyjskiego stalowe ostrze bagnetu przeszyło, żołnierz, który ten bagnet wbił, szarpnął zaciekle karabinem, rozpruwając mu wnętrzności. Piekielny hałas, na pół zwierzęce okrzyki mieszają się z jękiem rannych.

Dochodzą do okopów.

Tuż obok niego padł przyjaciel, kula przeszyła serce. Umierając jęknął:

— Ryszard, list oddaj... żo... nie...

Przypadł do stygnącego trupa, wydarł z kieszeni pożółkłą szarą kopertę, fala ludzka popchnęła go naprzód. Chciał schylić się nad przyjacielem, ucałować stygnące lica, popchnięty, upadł na jakieś ciało, twarzą przywalony do nich. Ręce zanurzyły się w jakiejś lepkiej kałuży, dotkliwy ból poczuł na ciele. Brutalne obcasy pędzącej fali żołnierskiej tratowały, głowa, uderzana co chwilę podkową buta, pękała od bólu. Usiłował wydobyć ręce z kałuży lepkiej, oślizgłej, przywarły silnie, głos w piersiach mu zamarł, zerwać się chciał, czując, że coraz głębiej kałuża ta pochłania go, coraz bardziej z leżącemi pod nim ciałami zapada się.

Ostatnim wysiłkiem naprężył piersi, z gardła wydobył się nieludzki krzyk.

W tejże chwili przebudził się.

Podniósł powoli głowę, spojrzał po pokoju, rozglądając się... Jakiś dziwny, cichy pokoik, znany mu tak... tak znany, a jednak nie może przypomnieć. Na stole pełno kwiatów, fortepian ustrojony różnokolorowymi kwiatami.

— Gdzie jestem? — wyszeptał po chwili.

Mózg pracował usilnie. Jak przez mgłę stawały mu rzesze żołnierskich postaci, sen, który go poprzednio zmorzył, kwiaty, kąpane promieniami zachodzącego słońca, barwnymi kolorami mieniły się.

Pot kroplisty wystąpił na czoło Ryszarda.

Wzrokiem natężonym wpatrywał się w kwiaty, w portrety przodków wiszące na ścianie, w sprzęty zdobiące pokoik.

Stary zegar zawarczał...

Za sekund parę wydzwoni znów godzinę ubiegłą, życie światu i ludziom skróci...

Zawarczał sprężynami, jak stary człek, żywot swój kończący. Ryszard drgnął.

Charczenie podobne słyszał nieraz, gdy towarzysz broni padł... gdy ostatni wydał jęk. Sprężyny poruszonego zegaru wspomnienie ostatnich dni wtłoczyły do mózgu chorego.

Wreszcie wydzwonił godzinę... po każdem uderzeniu przestając chwilę, jakgdyby chciał się zatrzymać przy uderzeniu, skrócić minione chwile.

Ryszard spojrzał w okno.

Lekki zefirek igrał muślinowemi firankami u gotyckich okien zawieszonemi, świeże powietrze z ogrodów napływało, odświeżając pokój.

Z lubością wciągał powietrze, rozkoszując się zapachem rozkwitłych kwiatów z pola napływającym, jak również z zerwanych, rozrzuconych po salonie. Zamigotał mu przed oczyma czarno wyszklony fortepian, zobaczył ułożone na pulpicie nuty.

Twarz mu się rozjaśniła... Poznał swój pokój... fortepian stary, na którym pierwszych uderzeń na klawiszach próbował.

Chopenowska melodya zadrgała mu w duszy, poruszył się gwałtownie na łóżku, wychudłemi dłońmi uchwycił za brzegi metalowe, podźwignął się ciężko...

W piersiach rozprzęgły się bolesne kłucia, usiłował powstać, podejść do fortepianu, uderzyć w akordy... pieśń grającą w duszy wysłowić...

Szarpnął się powtórnie, jęknął cicho i jak podcięty kłos pszeniczny powalił się na łóżko.

Ociężałe przywarły się powieki, pierś nierówno podnosić się poczęła.

Słońce powoli kryło się za widnokręgiem... gasły ostatnie, krwawo zabarwione promyki — szarzyzna poczęła ogarniać pokój...

— — — — — — — — — — — — —

Wśród barwnych kwiatów, oszołomiony zapachem, przechodzi — kolorami swymi w podziw go wprawiają.

Białe, bezwonne narcyzy płatki zawracają w stronę jego i przyjaźnie chylą korony swe na wysmukłych, zielonych łodygach.

Lilia mieni się w słońcu, zefirek swawolny usiłuje ją nagiąć, sterczy śmiało, mimo, że łodyga chwieje się, nie zniża się korona kwiatu.

Fiołek skromny pod listek się skrył — zapachem nęci — kwiatuszek swój starannie skrył, tarczą liściem okrył...

Modra niezabudka nad srebrnym potokiem tęsknie spoziera, jak czyste oko stęsknionej, kochanej dziewicy do srebrzystego potoku, schyla się, przegląda piękność swą... zasłonięta szorstkim liściem łopuchu...

Na wyniosłych łodygach malwy strojne, bezwonne, kolorem wabią, jak złudne szczęście człowieka, zerwiesz krótko przypięty do łodygi kwiat — odrzucisz!...

Na kolczastych krzakach pączki rozkwitłych róż, kolorem i zapachem dumne, wiatr krzakami na wszystkie strony powiewa, słaniają się, wabią, wyciągniętą dłoń po kwiat kolcem ostrym gotują się ukłuć...

Białe korony tulipanów stuliły się, jak strwożone siostrzyce, zbłąkane w lesie. Przywarły listki ku sobie... trwogą przerażone.

Różnokolorowe bratki schylają podkowiasty kwiat, szepczą w zgodzie... o przyjaźni...

Rozstępują się przed nim kwiaty, przechodzi, spogląda na nie...

— — — — — — — — — — — — —

Z pączka, z czerwonych płatków róży, który nachyla się, jak gdyby pod czarodziejską różdżką, twarz jakaś anioła wyłania się... we mgle... srebrzysty włos opada na białą, alabastrową pierś, którą wstydliwie okrywa. Niebieskie, stęsknione oczy ze słodyczą spozierają, koralowe usta rozkosznie rozchylone... pół uśmiechnięte... spragnione. Śmieją się usta, słodyczą zapraszają, wabią...

Próbuje zbliżyć się... uchwycić dziwny kwiat, zerwać z łodygą... W mgłę postać się rozwiała... krzak róży rozkwitłej, w ciernisty, zeschły pręt się przemienił.

Chciał przylgnąć do rozkosznych ust, pochwycić białą postać w ramiona, na łabędzich piersiach ukoić tęsknoty, miłości czar wchłonąć w spragnione ciało... kwiecisty krzak w zeschły, kolczasty pręt się zmienił... postać w mgłę się rozwiała...

U stóp jego ziemi nieco świeżo skopanej, wodnistej gliny, z szarym piachem, z iłem zmieszanej ślad...

Tuż pośród piekących traw, pokrzyw, ostów, łodygę wyprężył narcyz... rośnie łodyga... płatki białej korony w olbrzymy zmieniają się...

Postąpił naprzód...

Miast prążków kielicha rysy korony wyłoniły się, przyjaciela spojrzały oczy, smutne... rozumne... ukojenie w smutku niosące...

Serdecznie wyciągnął dłonie, twarz przyjaciela bolesnym uśmiechem zadrgała... opadła korona kwiatu... zieloną łodygę wiatr między piekące ziela ukrył...

Łodyga lilii, z śnieżystymi kwiatami z oddali skłoniła się, na koronie mgła przejrzysta spoczęła, kształtów dziwnych nabierając...

Usiadł pod dłoniastymi liśćmi winogradu, pełznący bluszcz pod stopami mając, roziskrzonem okiem w kwiat przeobrażający wpatrując się...

Białą szatą postać wyłoniła się z dźwięczną harfą w dłoniach... Łodyga lilii, jak sosny niebotycznej wyrosła pień, na listku spoczęła postać, ujmując harfę w dłonie.

Zatrzymał oddech w piersiach, kurczowo przycisnął ręce do ciała, bojąc się, by nie spłoszyć zjawiska.

Zadrgała harfa...

Przymknął powieki...

Nieznana melodya spłynęła, ciało dreszcz opanował — wchłaniał melodyę...

Rozkosz przebiegła przez niego...

Mimowoli wyciągnęły się ręce, pokurczone palce

rozprostowały, uderzał w takt pieśni harfy po próżni przestrzeni...

Pieśń coraz silniej, potężniej, rozlegała się... ciało jego w febrycznych dreszczach trząść się poczęło...

Jak oszalały zerwał się, pod białą lilią ukląkł, szeptając:

— Dla pieśni daj mi żyć!

Ucichła pieśń!...

Spojrzał zdziwiony...

Szkielet łodyga, otoczona wstrętnem robactwem, na pół zgniła, wśród moczarzyska sterczała...

Zerwał się szybko, biedz usiłował szybko... po przez czerwone maki, tratowane jego stopami.

Nie mógł jednakże iść. Jakaś żelazna siła przykuwała go na miejscu, najmniejsze poruszenie sprawiało mu dotkliwy ból...

Ostatnie dźwięki harfy jęczały mu w duszy... pragnienie życia silnie uderzyło w serce...

Rozglądnął się wkoło...

Malwy, mieniąc się w słońcu, przed oczyma jego zamigotały...

Wzrokiem rozpacznym spojrzał na kołyszące się kwiaty. Pod wzrokiem przeistoczyły się one w strojne postacie...

Jakaś spocona, opasła twarz bankiera ironicznie się śmiejąca, w objęciach swych trzymała strojną dziewczynę, pieszczotliwie zbliżała usta do odsłoniętych, jędrnych piersi. Usta wpiły się w pierś, ręce następnie pochwyciły głowę dziewczyny, przechyliły, szydercze usta dotknęły szyi, odsłoniętych pulchnych ramion. U stóp jego stosy złota. Brutalnie pchnął ją na stosy złota, śmiejąc się szyderczo...

Wychudły, w czarny garnitur ubrany młokos, w chwiejnych dłoniach puhar wina trzymając, spojrzał tryumfująco na Ryszarda — podniósł puhar do ust, wysączył, odrzucając próżny...

Usiłował zwrócić głowę w inną stronę — napróżno... Nogi uginały się pod nim, wstręt opanował go... Roje półnagich kobiet coraz bardziej zbliżały się, okrążać go poczęły...

Zamknął powieki...

Chichot zawtórował, powieki przeźroczystemi się stały, ktoś przytknął mu kielich do ust, szumiące, słodkie wino, dławiąc się, przełknął...

Zrobiło mu się raźniej, weselej...

Kielich zdawał się być wiecznie pełny. Wchłaniał w siebie upajający trunek, coraz większe czując pragnienie...

Uchwycić chciał kielich w dłonie, silnie przechylić, aby wysączyć do ostatniej kropli... uczuł próżnię przed sobą...

Wokoło niego roje uśmiechniętych kobiet, wyginając dziwacznie ciałami, lubieżnie nachylały się w stronę jego.

Blask złota olśnił go — uczuł pragnienie nagromadzenia pod stopy swoje iskrzącego metalu...

Coraz bliżej lubieżne, półnagie postacie zbliżały się... krew zawrzała, wpatrywał się w linie kształtów wyginających się kobiet...

Tuż... tuż... już koło niego...

Rzucił się ciałem naprzód, z rozkrzyżowanemi rękoma — śmiech szyderczy bankiera rozległ się, upadł na kolczaste krzaki tarniny...

Bezlistne, zeschłe, kolcem ostrym ozdobione gałązki tarniny pokrwawiły mu twarz i ręce...

Powstał z trwogą...

Nad srebrzystym potokiem modre kwiatki niezabudki, w toń patrzą... kształty swoje oglądają. Depcząc po zwiędłych badylach, dotarł do stromego brzegu potoku, w pofalowaną toń patrząc, przedostać się chciał na drugą stronę brzegu, garść niezabudek aby zerwać.

Przystanął nagle zdumiony...

Maleńkie kwiatki niezabudki wyrosły przez tą chwilę w palmę rozłożystą, w pniu zaś łuszczastym kwiat wielki świecił, jakby olbrzym jaki.

Niebieskie płatki korony kołysać się leciutko poczęły... falować... błyskawicznie...

Cyganki twarz — wróżki dobrego i złego, ze środka kwiatu wychyliła się... Czarne, palące oczy wstrzymały go na miejscu. Roztworzyły się krwiste usta, alabastry białe — zęby — osłoniły ciemne wargi.

Natężył słuch...

Niezrozumiałej mowy plątały się wyrazy, zaklęcia, czy wróżby...

Drżąc na ciele, rozszerzonemi źrenicami z trwogą patrzał, słowa chcąc zrozumieć...

Surowa twarz cyganki, wiankiem płatków modrych otoczona, bezdźwięcznym głosem wyszeptała:

— Dopóty tego życia — póki nie zwiędnie kwiat...

Pęk drobnych niezabudek upadł tuż przy nim, schylił się, zadrżał i w szumiący potok srebrzysty wpadł.

— — — — — — — — — — — —

Ryszard, oddychając głęboko, rozchylił powieki, przez długą chwilę nieruchomym wzrokiem patrząc na niebiesko wymalowany sufit.

Myśl jego plątała się ustawicznie, głowa pękała od bólu, usta krzywiły się w cierpieniu.

Zwrócił głowę na pokój.

Słoneczny dzień.

Złociste promienie igrają po niebieskich makatach pokoju, bystro patrzące portrety przodków oświetlają.

Dojrzał kwiaty na stole, fortepianie, jakby rażony jakąś myślą, drgnął.

Po chwili podniósł się błyskawicznie, zebrawszy ostatki sił podbiegł do fortepianu, leżący bukiet pochwycił w drżące dłonie, wpatrując się weń nieruchomo.

Zwiędłe kwiaty opuściły korony, z drżących dłoni posypał się grad listków róż, narcyzów, bratków.

Upadły płatki korony kwiatów na podłogę, w dłoniach pozostał snop na pół zgnitych, zwiędniętych łodyg.

Zadrżał, z rąk wypadł snop wyschniętych łodyg i rozleciał się na twardej, kamiennej posadzce.

Z ust gorączką spieczonych wydarł się cichy szept:

— Zapóźno!...

Przez chwilę chwiał się, rozkrzyżowawszy ręce usiłował uchwycić bukiet róż, tkwiący w wazonie, runął głową na klawisze fortepianu, bezsilne ciało uderzyło o wyszkloną posadzkę salonu...

Piotrków, 10 sierpnia 1915 roku.

Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamińsku.

Działalność Legionów polskich z każdym dniem nabiera coraz większego znaczenia i coraz większej siły. Mimo całorocznych walk, wytężających trudów i mnożących się trudności, nie niszczeje dzieło Legionów, ten wyraz bohaterskiej woli narodu polskiego, lecz potężnieje z dnia na dzień, zarówno na polu akcyi wojennej, jak, co równie jest ważne, w swem życiu wewnętrznem, w swej organizacyi pozafrontowej.

Od dłuższego czasu dotkliwie dawał się odczuwać brak własnych, legionowych szpitali i domów zdrowia. Dzielna młodzież, okrywająca się najwyższą chwałą na polu walki, gdy z powodu ran otrzymanych, czy chorób ciężkich musiała iść poza linię, znajdowała się odrazu w otoczeniu obcem,

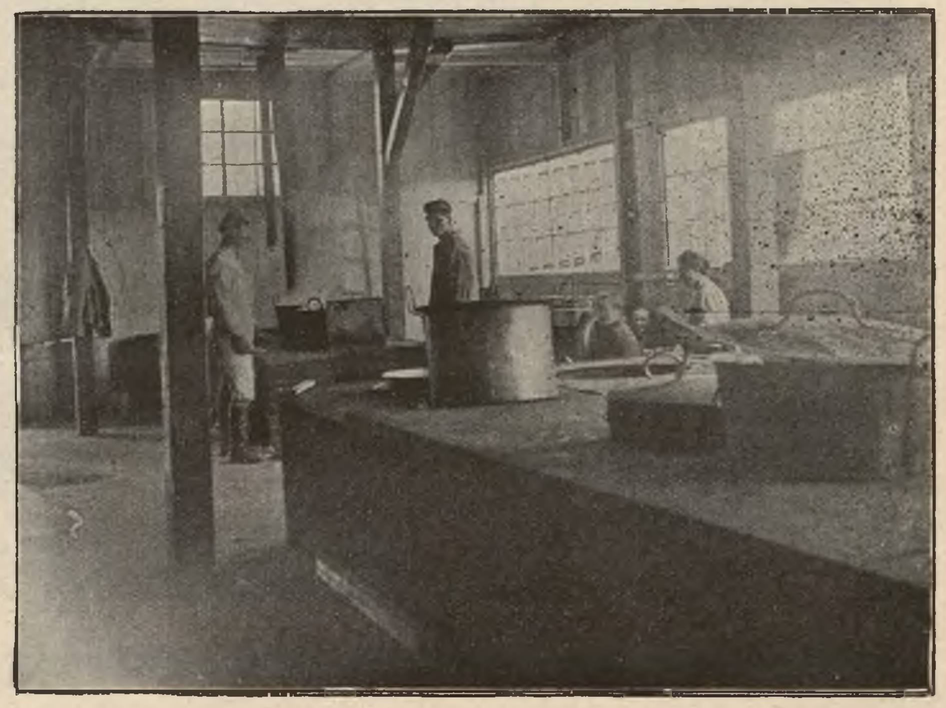


Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamińsku: Jedna z sal.

Tułanie się po obcych szpitalach dla młodzieży polskiej należało do jednej z najprzykrzejszych stron ich życia legionowego. Próbowano zaradzić złemu już ubiegłej jesieni, kiedy w czasie pobytu Departamentu Wojskowego N. K. N. na Śląsku, starano się na zezwoleniem i wydatnem poparciem materyalnem austryackiego rządu, mającego zrozumienie dla znaczenia tych odrębnych instytucyi legionowych.

I tak w ziemi piotrkowskiej, w Kamińsku, powstaje olbrzymi Dom dla ozdrowieńców Legionów polskich. Zasługa w tem w wielkiej mierze majora wieńców legionowych, urządzony według najnowszych wymogów, na wzór wielkich sanatoryów. Przebudowę i urządzenie całe przeprowadzono pod kierunkiem inż. por. Jana Słuszkiewicza, którego nazwisko po raz drugi zapisuje się pięknym czynem na kartach historyi legionowej. Do zasługi o czysto





Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamińsku:
Sala ogólna dla szeregowców. Na froncie por. Słuszkiewicz, twórca planów i wykonania. Kuchnia.

gościnnej ziemi śląskiej w przepięknej, malowniczej okolicy Jabłonkowa stworzyć pierwsze legionowe szpitale i domy zdrowia. jak w Wędryni, Łomnicy, Szyglach, Piaskach. Później te same próby wznowiono w Kętach i okolicy. Obecnie sprawa ta weszła w nowe, nadzwyczaj korzystne stadyum. Oto na ziemi Królestwa Polskiego, tej, o którą młódź legionowa przedewszystkiem walczy i walczyć pragnie, powstają pierwsze wielkie, urządzone z dużym nakładem pracy i pieniędzy, zakłady lecznicze, szpitale i domy zdrowia. Dodajmy, że dzieje się to za Wojciecha Rogalskiego, szefa sanitarnego Legionów. Rozumiał on dobrze potrzebę takiej instytucyi, a dbając o zdrowie walczącej młodzieży, zabiegał na wszystkie strony, by do skutku doprowadzić swój zamiar. Uzyskawszy wreszcie pozwolenie, na miejsce wybrał Kamińsk, którego położenie ze względów zdrowotnych najwięcej temu celowi odpowiadało. Dokoła lasy sosnowe, piaski, wspaniała insolacya czynią z Kamińska prawdziwe miejsce lecznicze. W miejsce przebudowanej fabryki giętych mebli „Wojciechów“, powstaje wspaniały Dom dla ozdro- wojskowem znaczeniu zbudowania słynnej „Drogi Legionów“ wśród gór karpackich, dołączył czyn kultury społeczno-wojskowej.

Cała budowa obejmuje duży zakrój, wynosi 500 m² powierzchni zabudowanej. Wewnątrz 4 olbrzymie sale, po 120—200 łóżek. Dużo w nich wolnej przestrzeni dla swobodnego ruchu, stoły, ławki, dla każdego kuracyusza przeznaczone miejsca. Sale wysokie 4—7 m, w górze oszklone, światła i powietrza podostatkiem. Przestronność tych sal wywiera nadzwyczaj korzystne wrażenie, zapewnia ich



Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamińsku: 1) dr Rudzki, 2) dr. Szantruczek, 3) dr. Szymanowski, 4) komendant san. Łakociński, 5) dr. Witoszyńska.



Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamińsku: Ogólna sala dla szeregowców. 1) dr. Rogalski, lekarz sztabowy, szef sanitar. Legionów polskich, 2) dr. Krzyżanowski, audytor przy Legionach polskich, 3) major Albinowski, komendant Domu ozdrowieńców, 4) dr. J. Witoszyńska, 5) porucznik Słuszkiewicz, kierownik budowy domu ozdrowieńców.

mieszkańcom dużo swobody i wygody. Całe urządzenie wewnętrzne obfituje we wszystkie nowoczesne konieczne akcesorya: wodociągi, elektryka, łazienki, tuszowe kąpiele, pralnie, kanalizacya.



Poranek pożegnalny w szpitalu: Naświetlanie chorych sztucznem słońcem.

Prócz 4-ech dużych sal, cały szereg pokoi wyznaczonych dla specyalnych celów, jak: poczekalnia, kancelarya meldunkowa, lekarz dyżurny, pokoje dla oficerów, pokoje dla podoficerów, jadalnia, czytelnia, pokój zebrań i t. p. Całe urządzenie wewnętrzne, łóżka, stoły, szafki nocne (dla każdego) dopiero co, świeżo, umyślnie zrobione. A cała ta przebudowa i praca nad wewnętrznem urządzeniem trwały bardzo krótko. Rozpoczęte 1. czerwca, już w pierwszych dniach lipca dobiegały do końca, tak, że z dniem 10. zaczęli sanatoryum zapełniać najmilsi goście: Legioniści, na razie głównie z I. brygady, gdyż „Karpatczykom" jeszcze czas jakiś służą bukowińskie i węgierskie szpitale.

Nadzór lekarski nad całym Domem Zdrowia objął por. dr Koźniewski, zasłużony lekarz I. brygady, kierownik kolonii wypoczynkowej w Łomnicy pod



Z walk Legionistów na Bukowinie: Podporucznik Maciej Bardel, komendant wsławionej bohaterską walką pod Zadobrówką siódmej kompanii.

Jabłonkowem, komendantem został major Roman Albinowski, którego zasługi na stanowisku dyrektora Szkoły Podchorążych zapewniają pewne i wytrawne kierownictwo. Wyraźna myśl pedagogiczna przyświeca komendantowi, który dla przybywających ozdrowieńców ustalił program dostosowany do ich stanu fizycznego, potrzeb duchowych, a także i indywidualności chorego, często nazbyt kapryśnej. Celem programu, jak całego Domu Zdrowia, ostateczne podniesienie na ciele i duchu wyniszczonej w bojach młodzieży, umożliwienie, by jak najrychlej mogła skrzepiona wracać do szeregów i wnosić tam nowy zapas sił i energii. Już samo zrzeszenie polskiej młodzieży w jednem wspólnem ognisku jest rzeczą niezmiernie cenną i dodatnią. Jest to duży krok naprzód w naszem własnem życiu organizacyjnem, zdobycz wydatna o polityczno-wychowawczem znaczeniu.





Pierwsi pacyenci. **Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamińsku:** Jedna z sal oficerskich.

Kontyngentu ozdrowieńców dostarczać będą stale, prócz obcych, Legionowe szpitale, których w Kamińsku jest aż pięć. Wszystkie urządzone na wzór nowoczesnych sanatoryów, kieruje nimi dzielnie kap. dr Stefan Rudzki, człowiek o wielkiem poświęceniu, o dużej wyrozumiałości i dobroci serca. Sekundują



Z walk Legionistów na Bukowinie: Chorąży Tadeusz Parafiński.

mu skutecznie dr Szantruczek, dr Dehnel — a także dr Witoszyńska, która wraz z 2. szwadronem ułanów Wąsowicza pospieszyła na karpackie pole walki, potem znakomicie prowadziła szpital w Taraczköz,



Szlakiem Legionów: Przenoszenie karabinów maszynowych na pozycyę.

obecnie zaś tutaj rozwija swoją niestrudzoną działalność, zawsze pełna zaparcia i energii. Nadmienić jeszcze należy, że założono „Laboratoryum bakteryologiczne“ pod kierunkiem dra Szymanowskiego, choć, jak dotąd, nie stwierdziło ono ani jednej choroby zakaźnej.

W uprzyjemnieniu życia chorym polskim żołnierzom dopomaga skutecznie „Liga kobiet“ w Kamińsku i T. S. L. z Krakowa przez wypożyczanie pism i książek odpowiednich.

Zarówno Dom dla ozdrowieńców, jak i szpitale, założone na upragnionej ziemi Królestwa Polskiego, o którego wyzwolenie walczy polski Legionista, są nowemi, ważnemi placówkami, przygotowującemi nowe zapasy energii na dalszą walkę aż do zwycięstwa. *b.*

Z walk Legionistów na Bukowinie.

Każdy niemal dzień przynosi nowe wawrzyny do sławy naszych Legionistów, walczących obecnie nie tylko w Królestwie Polskiem, ale także na Bukowinie i w Bessarabii. Gdy znaczna część II. brygady, po wypędzeniu Rosyan z Galicyi, doczekała się upragnionego powrotu do kraju i walczy dziś w Królestwie Polskiem, częć Legionu pozostała na Bukowinie, gdzie odznaczyła się brawurowem męstwem i zwycięstwami. Wybitną zwłaszcza rolę odegrali nasi Legioniści przy ostatecznem wypędzeniu nieprzyjaciela z Bukowiny. Było to w połowie czerwca. Po zażartej bitwie pod Zadobrówką, niemal cały batalion rosyjski poddał się szturmującym z frontu Legionistom. Najsilniejsza pozycya całej rosyjskiej linii od Sadagóry po lasy nad Dniestrem została przełamana. W jednej chwili, jakby na dany znak,



Poranek pożegnalny w szpitalu: Personal sanitarny i chorzy szpitala fortecznego nr. 6. w Krakowie (w gmachu klasztoru Misyonarzy) z drem Józefem Bogdanikiem w pośrodku.

zamilkł huk strzałów na linii dwudziestu kilometrów. W panicznej ucieczce opuszczają Rosyanie dalsze, na południe ku Sadagórze położone pozycye obronne, a wkońcu i samą Sadagórę.

spowodowało oczyszczenie resztek bukowińskiej ziemi od Rosyan.

Oddział ten prowadził podporucznik Bardel (syn znanego adwokata z Krakowa i posła), a pomagał mu dzielnie chorąży Tadeusz Parafiński, który został odznaczony srebrnym medalem waleczności.

W dzisiejszym numerze zamieszczamy podobizny obu dzielnych Legionistów.



Obrazki wojenne: Austryackie moździeże, „Lisi“, „Mizzi“ i „Poldi“, na wypoczynku.

Nazajutrz dopiero na granicy państwa można było wejść znowu w styczność z nieprzyjacielem. Rosyanie stanęli obok jeziora Rokitno, w tylnych, oszańcowanych pozycyach. Skrzydło rosyjskie chronił las, który zajęła kawalerya rosyjska. Pod naporem jednak lewej grupy Legionistów Rosyanie opuścili las i stracili styczność z główną pozycyą rosyjską pod Zadobrówką. Wskutek tego udało się składającej się zaledwie z dwudziestu pięciu ludzi przedniej straży batalionu Legionów, przeznaczonego do zagrażania prawej flance nieprzyjacielskiej, przedostać się przez las i stanąć na tyłach głównej pozycyi nieprzyjacielskiej. Przerażeni krzykiem i nagłą salwą strzałów w tyle, byli Rosyanie przekonani, że zostali przez silne oddziały otoczeni. I oto dwudziestu pięciu Legionistów zniewoliło do poddania się cały batalion nieprzyjacielski, spowodowało przełamanie rosyjskiego frontu, co w dalszych skutkach

Poranek pożegnalny w szpitalu.

W sobotę 14 b m. odbył się na oddziale IV. szpitala fortecznego nr. 6. pożegnalny poranek ku czci lekarza pułkowego, dra Józefa Bogdanika, z powodu zwinięcia oddziału jego. Znakomitą swą a długoletnią praktyką (był prymaryuszem szpitala św. Łazarza w Krakowie) oraz ojcowską opieką zaskarbił sobie w sercach pacyentów synowską wdzięczność, a nastrój, w jakim ów poranek się odbył, był wyraźnym hołdem dla ukochanego lekarza. Cicha praca jego powinna znaleźć odgłos u miarodajnych czynników, zwłaszcza, że jego system leczenia sztucznem górskiem słońcem okazał się niezrównanym: metoda jego znana już za granicą, u nas zaczyna wchodzić w stadyum początkowe; znane są zakłady lecznice w Leysin i St. Moritz.

Wyniki badań swych zestawił dr. Bogdanik w broszurze p. t.: „Erfahrungem mit der künstlichen Höhensonne und deren Anwendung und Bedeutung in der Kriegschirurgie“, drukowanej w „Klinisch therapeutische Wochenschrift“ w Berlinie.



Dom dla Legionistów-ozdrowieńców w Kamionku: Grupa lekarzy i komendantów.

W imieniu pielęgniarek przemówiła p. Dymówna, a następnie jeden z rannych żegnał doktora w imieniu wszystkich chorych, będących w szpitalu. Potem zabrał głos dr. Bogdanik i w serdecznej przemowie dziękował wszystkim za taki dowód wdzięczności



Koncert dla rannych Legionistów: Grupa słuchaczy i wykonawców na dziedzińcu krakowskiej fabryki cygar. 1) Ludwika Grodzicka, 2) Lucyna Spornówna.

i uznania, a przedewszystkiem pielęgniarkom swoim, które w najcięższych i najgorętszych chwilach dopomagały mu w pracy skutecznie i celowo.

Opera w Krakowie.

W czasach, kiedy zazwyczaj „muzy milczą“, a w najlepszym razie do minimum ograniczone jest ich działanie w społeczeństwie, w Krakowie jesteśmy świadkami wcale ożywionego ruchu muzycznego, którego ogniskiem jest Towarzystwo operowe. Z inicyatywy kilku muzyków w styczniu b. r. w opustoszałym przez ewakuacyę i rozgorączkowanym wojną Krakowie pokuszono się o sporadyczne urządzanie przedstawień operowych przy współudziale miejscowych sił solowych i ad hoc złożonej orkiestry i amatorskiego chóru.

Wyjątkowo szczęśliwa okoliczność, że zawierucha wojenna zatrzymała u nas przelotnych zazwyczaj śpiewaków operowych o wyrobionej zdawna marce u publiczności, i skojarzenie się muzykalnych jednostek, stale w Krakowie mieszkających, do jednego wspólnego celu, t. j. rozbudzenia ruchu muzycznego w najpopularniejszej formie przedstawień operowych, podłożyły podwaliny do tego, o czem dawno mówiło się już w Krakowie: o utrzymaniu stałej opery. Obecnie, kiedy goszczą u nas sfery inteligencyi obcej, przedstawienia operowe miały szczególnie dobroczynne znaczenie, albowiem zapełniały ważną lukę rozrywek kulturalnych, których brak u nas zawsze, a szczególnie obecnie się zaznaczał. Towarzystwo operowe dało dotychczas przeszło trzydzieści przedstawień stale przez publiczność popieranych i prawie zawsze przy zupełnie wysprzedanej widowni. Na program składały się utwory poważniejsze i lżejsze: „Halka“ i „Verbum nobile“ Moniuszki, „Carmen“ Bizeta, „Lalka“ Audrana, „Piękna Galatea“ Suppego, „Krakowiacy i Górale“ Kurpińskiego, oraz nowości polskie: „Królewicz jaszczur“ Raczyńskiego i „Legenda“ Walewskiego. Pewna część przedstawień operowych była w administracyjnym zarządzie teatru miejskiego, obecnie Towarzystwo prowadzi antrepryzę na własną rękę. Jako soliści brali udział: pp. Aywasówna, Bodnicka, Gołkowska, Hendrichówna, Łowczyńska, Silberling, Stolfowa, Szafrańska i Walewska, oraz pp. Isakowicz, Kowal, Ludwig, Łowczyński, Mazanek, Senowski, Stępniowski i Zathey.



Z żałobnej karty Legionów: S p podporucznik Tadeusz Dąbrowski.

Kierownikiem artystycznym jest prof. Bolesław Walek-Walewski, administracya spoczywa w ręku p. Hugona Zatheya.

Najnowszą premierą Towarzystwa operowego będą: „Opowieści Hófmanna“ Offenbacha przy współudziale wielkiego zespołu solistów i chóru. Przedstawienia odbędą się w teatrze miejskim w dniach 28, 29, 31 bieżącego miesiąca i 2. września.

Z żałobnej karty Legionów.

W dniu 23. maja 1915 r. w bitwie pod Klimontowem poległ ś. p. Tadeusz Dąbrowski, słuchacz prawa na uniwersytecie lwowskim, podporucznik III kompanii, II batalionu, II pułku Legionów polskich. O bohaterskiej jego śmierci na polu chwały przesyła nam jego towarzysz broni, sierżant Maryusz Link, następujące gorące wspomnienie:

„Upalnej niedzieli 23. maja o godzinie dwunastej w południe otrzymaliśmy dyspozycye: nasz trzeci pluton ma być ochroną prawego skrzydła całej kompanii. Rozkaz... Nasz podporucznik rozwija tyralierkę, wydaje zlecenie głosem równym, spokojnym. Wychodzimy na górkę: przed nami długie pole, pokryte żytem — pole, które trzeba przejść w silnym ogniu karabinowym... Przebiegamy, nasz komendant głosem donośnym, ale spokojnym, prowadzi pluton, wskazuje kierunek, równa wyginającą się linię. W połowie pola kule świszczą coraz gęściej, odzywają się jęki, jednak zwycięsko posuwamy się naprzód! Wtem widzę, jak na skraju żyta przypadł jakoś dziwnie komendant na ziemi... Linia posuwa się, wznoszą się okrzyki, ale naszego komendanta niema... Strzał karabinu rosyjskiego był celny — w głowę — śmierć niosący natychmiast. Dopiero w nocy mogli ci, co Go kochali, a innych w plutonie podp. Dąbrowskiego nie było, rzucić Mu do grobu wiązkę polnych, krwawych maków, wbić w ziemię biały, brzozowy krzyżyk z tabliczką i napisem: „Zginął po bohatersku — bohater“. Niech jednak fakt bohaterskiej i owocnej w czasie zwycięskiego ataku na wroga śmierci — będzie tym, co Go opłakują, pociechą, bo nasz kochany podp. Tadzio Dąbrowski za Polskę poległ...“



Opera w Krakowie: Krakowskie Towarzystwo operowe.

6. sierpnia 1914 roku.

(Ze wspomnień „kadrowca").

Byłym komendantom pierwszej kompanii kadrowej: kapitanowi Zbigniewowi Kasprzyckiemu, ś. p. kapitanowi Herwinowi-Piątkowi, porucznikowi Krokowi-Paszkowskiemu jej obecnemu komendantowi porucznikowi Rawiczowi Mysłowskiemu, tudzież swemu byłemu plutonowemu porucznikowi Krukowi Czarnemu-Kruszewskiemu — poświęcam ten artykuł.

Dzień 6. sierpnia 1914 roku jest i będzie dniem pamiętnym nietylko w historyi Legionów Polskich, ale także i w historyi narodu polskiego. Dzień 6. sierpnia 1914 roku jest dniem wymarszu pierwszej kompanii kadrowej z Krakowa, oraz wkroczenia jej przed oddziałami kawalaryi austryackiej do Królestwa Polskiego.

Rok już upłynął od tego pamiętnego poranku sierpniowego, gdy przez ulice uśpionego Krakowa sunął cicho oddział strzelców, gdy z rozkazu swego wodza Józefa Piłsudskiego wkroczył on na ziemię Królestwa Polskiego, niszcząc wszędzie odznaki panowania moskiewskiego, gdy wreszcie wieczorem wszedł do miasteczka Słomnik, witany entuzyastycznie przez ludność.

Wkroczenie pierwszej kompanii kadrowej w dniu 6. sierpnia 1914 roku do Królestwa pozostanie bezsprzecznie doniosłym faktem historycznym. Ta mała garstka strzelców polskich swym śmiałym marszem wgłąb Królestwa pokazała, że naród polski nie porzucił myśli walki z najazdem moskiewskim, że żołnierz polski, wierny tradycyom przodków swych, potrafili dzielnie stawić czoło żołdactwu moskiewskiemu.

— — — — — — — — — — — — —

W połowie lipca 1914 roku obie organizacye strzeleckie urządziły w Galicyi dla oficerów i podoficerów kursy instruktorskie: Związek strzelecki w Krakowie, a Polskie Drużyny Strzeleckie w Nowym Sączu. Kursy te z bogatym programem miesięcznym były zorganizowane specyalnie dla Królewiaków, członków tajnych organizacyi strzeleckich w Królestwie, którzy też, pomimo dużych trudności w przebyciu granicy, przybyli dosyć licznie (każdy z tych kursów liczył około 160 ludzi).

Nie sądzonem jednakże było obu kursom dokończyć swego programu szkolnego, który przerywa wybuch zawieruchy wojennej. Na wieść o połączeniu obu organizacyi strzeleckich pod komendą Józefa Piłsudskiego, jako naczelnika polskich sił zbrojnych, radość zapanowuje na obu kursach. — W Nowym Sączu uczestnicy kursu urządzają wspaniałą demonstracyę patryotyczną za wojną przeciw Rosyi. Gdy wybuch wojny staje się nieuniknionym, komenda Polskich Drużyn Strzeleckich rozkazem swym z dnia 1 sierpnia przywołuje kurs instruktorski z Nowego Sącza do Krakowa. Wieczorem 2 sierpnia małymi oddziałkami przemaszerowujemy przez Kraków, witani okrzykami przez publiczność krakowską.

Nazajutrz na podwórzu na Dolnych Młynach ustawiono pluton, w sile 80 ludzi, samych Królewiaków; wszyscy porządnie wyekwipowani, z tornistrami, karabinkmi Manlichera i ostrą amunicyą. Podchorąży Norwid krótko nas pożegnał:

„Żołnierze! idziecie pierwsi pomścić krzywdy ojców Waszych. Bądźcie przykładem dla tych, co pójdą za Wami".

Pod komendą podchorążego Bukackiego pomaszerował pluton do Oleandrów, gdzie mieścił się kurs Związku Strzeleckiego.

Tam już czekał na nas podobny oddział, złożony również z Królewiaków, członków Związku Strzeleckiego. Po zdaniu raportu komendantowi Piłsudskiemu, ustawiły się oba oddziały naprzeciwko siebie. Środkiem, z założonemi w tył rękoma, przechadzał się Piłsudski. Znałem go dotychczas tylko z opisów, to też z zajęciem przypatrywałem się tej pochylonej postaci, o charakterystycznym obliczu, okolonem ciemnym zarostem. Krótkiemi, urywanemi lecz twardemi i energicznemi zdaniami, jak zawsze ma to zwyczaj czynić, przemówił do nas.

Nie dobierał słów, ani wyrażeń, jednakże słowa jego zapadły głęboko do serc naszych i pozostały w nich jako drogowskazy życia. Na znak połączenia obu organizacyj, komendant Piłsudski zamienił swój znaczek z podchorążym Bukackim.

Odczytano listę szarż. W celu uniknięcia przykrych dysonansów, oraz starych niechęci między obu organizacyami, szarże wszystkie ciągnęły losy, do którego plutonu przynależni być mają. W podobny sposób podzielono i szeregowców. Nastąpiła organizacya kompanii i plutonów.

Kompanijnym naszym został mianowany oficer związkowy, dziś kapitan sztabu I. brygady Zbigniew Kasprzycki, pluton pierwszy objął ś. p. kapitan Herwin Piątek, drugi — obecny porucznik Krok-Paszkowski, trzeci — kapitan Bukacki, czwarty — porucznik Kruk Czarny-Kruszewski.

Wskutek wyżej wspomnianego podziału, każdy pluton, a nawet każda sekcya składały się w połowie ze „związkowców", w połowie z „drużyniaków". Uniknięto w ten sposób starych niechęci i niesnak. I rzeczywiście zaraz po zorganizowaniu plutonów nastąpiły tak serdeczne stosunki, jak pomiędzy starymi znajomymi. Zamieniliśmy znaczki swe na orzełki związkowe i zaczęliśmy potrochu przyzwyczajać się do tytułu „obywatel", co z początku bardzo opornie szło.

Na kursie związkowym było dużo Warszawiaków, to też znalazłem tutaj swych znajomych i kolegów. Wogóle w całej kompanii prym trzymała Warszawa.

Nadchodził wieczór, a myśmy jeszcze stali, czekając na rozkazy. Sądziliśmy, że jeszcze dziś na noc wyruszymy do Królestwa. Zbliżył się do nas stary Sieroszewski w białym fartuchu, gdyż pełnił wtedy zaszczytny obowiązek kucharza. Żałował bardzo, że nie może z nami iść, ale obiecywał sobie niedługo nas dogonić.

Tymczasem w starym gmachu teatralnym, zamienionym na koszary, wyznaczono nam kwatery i niedługo sen uspokoił wzburzone umysły.

W ciągu następnych dni uzupełniano brak wyekwipowania, ćwiczyliśmy musztrę formalną i taktyczną, starając się wyrównać różnice w komendzie i systemach ćwiczebnych obu organizacyi. Z niecierpliwością i gorączkowym niepokojem oczekiwaliśmy dnia i godziny wymarszu.

A tymczasem mobilizacya postępowała naprzód. Codzień przybywały nowe oddziały połączonych organizacyi z różnych okolic kraju. Gwarno i tłumno było na obszernych błoniach w Oleandrach. Wszystko dyszało gorączkowem pragnieniem wymarszu.

Pierwszą kompanię kadrową zorganizowano dnia 3. sierpnia. Dnia 5. sierpnia o godz. 3 rano alarm kompanii. A więc wymarsz! Prędko ubiera się wiara, wkłada rynsztunek i wkrótce cała kompania we wzorowym ordynku stoi i czeka na rozkazy.

Wyprowadzono nas z Oleandrów na szeroką drogę. Pewni jesteśmy, że dziś będziemy w Królestwie. Tymczasem zamiast do Królestwa, skręciliśmy na błonia pod kopcem Kościuszki i zaczęły się ćwiczenia. Około godz. 7 wracamy do koszar. I znów ćwiczenia.

Powrócił już oddział naszej kawaleryi w sile pięciu koni ze swego wywiadu pod Jędrzejów i przywiózł pomyślne wiadomości.

Wreszcie nadszedł dzień 6. sierpnia. Podobnie jak dnia poprzedniego, o godz. 3 rano alarm. Znów stajemy w pogotowiu, ciesząc się nadzieją, że może nie będzie to już próba naszej wytrzymałości i hartu.

Raport, kolumna czwórkowa, marsz! U wyjścia żegnał nas lwowski oddział pod komendą podchorążego Bilińskiego.

I znów pomaszerowaliśmy szeroką drogą przez Łobzów. Cicho i spokojnie było, na ulicach niema żywej duszy. Jeszcze pamiętam dziś ten niepokój, z jakim maszerowaliśmy: czy spełnią się nasze nadzieje, czy też idziemy na dłuższe ćwiczenia za Kraków?

Ciężko nas doświadczono owym okrężnym marszem dwunasto kilometrowym, aż wreszcie doszliśmy do szosy krakowskiej. Odpoczynek. Na prawo widać Kraków. Pytanie: gdzie idziemy? Na prawo, czy na lewo? Odetchnęliśmy z ulgą, gdy czoło kompanii skręciło na lewo. Zagrała trąbka. Raźno szliśmy twardym krokiem, zaliżając się do tej ziemi obiecanej.

Wiedzieliśmy już napewno, że idziemy do Królestwa. Razem z nami szedł komisarz wojskowy i nasz intendent, obecnie komendant intendantury I. brygady, porucznik Litwinowicz.

Przeszliśmy przez ostatni fort krakowski i wsie za nim leżące, przez komorę celną austryacką, witani wszędzie przez ludność. Aż oto ukazały się nam zabudowania rosyjskiej komory celnej w Michałowicach już po drugiej stronie kordonu. Jeszcze chwila, a przekroczymy granicę, oznaczoną żelaznym słupem.

Godzina dziewiąta minut czterdzieści pięć. „Baczność!" Zabłysły w słońcu wyciągnięte szable, każdy wyciągał się jak mógł i trzymał krok, ażeby godnie wejść na tę ziemię, jak przystało na żołnierza polskiego. Słuchając dobrze, można było usłyszeć bicie własnego serca, każdy czuł powagę i uroczystość chwili. Przeszliśmy przez komorę celną w Michałowicach i dalej. Kompanię zatrzymano i kompanijny nasz w serdecznych słowach powitał tę ziemię, na której staliśmy.

Na skręcie szosy ukazał się jeździec. Był to Belina. Podjechał galopem do kompanijnego Zbigniewa, zasalutował szablą i zdał raport, że okolica wolna od nieprzyjaciela, a w poblizkim folwarku czeka na nas śniadanie.

W szyku bojowym maszerujemy dalej, pluton pierwszy w straży przedniej. Zazgrzytały, zaszczękały ładowane karabiny, dając nam poznać, że zaczyna się nowe dla nas życie.

Po krótkim spoczynku i posiłku we dworze w Michałowicach, ruszamy dalej. Po drodze mała potyczka naszej kawaleryi ze strażnikami. Wreszcie wieczorem, podczas ulewnego deszczu, wkroczyła kompania do Słomnik.

Tak się skończył dzień 6. sierpnia 1914 roku. Kości rzucone, gra się zaczęła. Rozpoczęte dzieło trzeba było dalej prowadzić.

— — — — — — — — — — — — —

Nie mam zamiaru opisywać dalszych losów pierwszej kampanii kadrowej, gdyż są one zbyt dobrze znane. Jako pierwsza kompania trzeciego batalionu I. pułku Legionów Polskich dzieli losy tegoż batalionu, biorąc udział we wszystkich bitwach pierwszego pułku. Wystarczy wspomnieć Kielce, Brzegi, Korczyn, Opatowiec, Laski, Brzechów, Ulinę Małą, Chyżówki, Marcinkowice, Łowczówek, lasek Kozinkowski, wreszcie Ożarów i Józefów — ażeby mieć wierny obraz dziejów pierwszej kompanii. Nie jeden raz miała ona sposobność odznaczyć się: jak pod Nowym Korczynem, odpierając kawaleryę rosyjską na froncie blizko kilometrowym, jak w nocnym napadzie na Chyżówki, gdzie był wzięty do niewoli cały szwadron dragonów rosyjskich, jak pod Łowczówkiem, w tym czterodniowym zmaganiu się z przemocą wrażą, w tym kilkunastokrotnym odpieraniu bagnetem ataków moskiewskich, gdzie kompania zmalała do plutonu, prowadzonego przez sierżanta, obecnie podporucznika Kalinę.

Gdzie trzeba było sprytu i odwagi, hartu i wytrzymałości, tam posyłano „kadrówkę", wiedząc dobrze, że ona najlepiej wywiąże się z zadania. Wiedziano dobrze, że kompania kadrowa, składająca się z ludzi inteligentnych, ideowców, nierzadko starych bojowców, wytrwa zawsze na stanowisku i nie cofnie się nigdy.

Nie znajdziemy obecnie w Legionie Polskim kompanii o takim doborze ludzi, o takim ukształtowaniu się stosunków tak pomiędzy szeregowcami, jak pomiędzy tymi ostatnimi a oficerami.

W obecnej kompanii mało pozostało „starych kadrowców", wydała ona sporo oficerów, reszta, jako podoficerowie, służy w innych kompaniach i batalionach, kilku znalazło śmierć bohaterską na polu bitwy. Ci, co pozostali, będą wierni tradycyom „kadrówki", a przeżyte walki i trudy pozostana dla nich najwspanialszymi wspomnieniami młodości.

W sierpniu 1915 roku.

Aleksander Hauke-Nowak
sierżant I. pułku Leg. Pol.








Opera w Krakowie:
B. Walek-Walewski, dyr. art. Adam Ludwig, reżyser. Aleksandra Szafrańska. Janina Gołkowska Helena Łowczyńska. Tadeusz Łowczyński.

W przeczuciu śmierci.

Podczas wojny, na polu walki, śmierć czyha na każdym kroku, a każda sekunda może stać się ostatnią chwilą życia. Lecz ci, co idą w bój, nie mogą ciągle myśleć o tem niebezpieczeństwie. I słusznie. Z największego piekła walki wychodzą przecie bojownicy żywi i zdrowi. Zdarzają się jednak chwile jakiegoś przeczucia zbliżającej się śmierci. Przykładem tego jest śmierć na polu chwały ś. p. Adama Parat-Katta, który padł przy zdobywaniu miejscowości Bór pod Józefowem w Królestwie Polskiem. Na kilka dni przedtem wysłał on pocztówkę do rodziny, w której między innemi pisze: „Posyłam ostatnią moją fotografię na pamiątkę. Jak zginę,



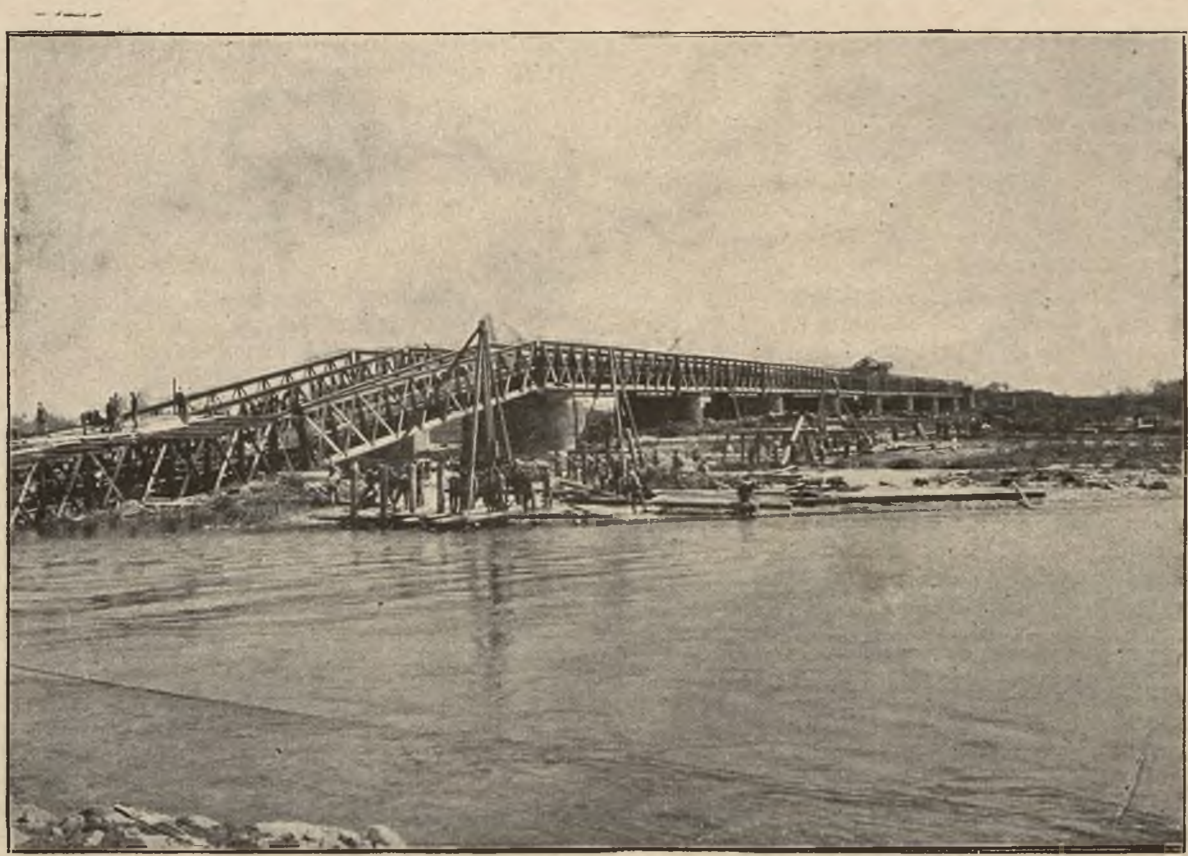
W przeczuciu śmierci: S. p. Adam Parat-Katt.

daj tę odbitkę do „Nowości Illustrowanych", niech mnie bodaj po śmierci widzą jeszcze znajomi i koledzy".

Była to rzeczywiście ostatnia kartka ś. p. Adama Parat Katta, którego podobiznę zamieszczamy, spełniając jego ostatnią wolę.

Po zajęciu Warszawy.

Dopiero teraz okazuje się, jak fałszywe krążyły wieści o Warszawie, gdy oddzielał ją jeszcze kordon armii walczacych. Wiadomości, jakie stamtąd



Obrazki wojenne: Most na Sanie po zburzeniu przez Rosyan.

nadchodzą obecnie, świadczą, że stolica Polski zarówno w ciągu całego roku wojny, jak i obecnie po wkroczeniu wojsk niemieckich zachowała takt, spokój i rozwagę, a była i pozostała ośrodkiem polskiego życia narodowego, na którym długoletni ucisk rosyjski nie pozostawił bynajmniej żadnego śladu. Stwierdzają to nawet korespondenci niemieccy, którzy podnoszą powagę i godność, z jaką Warszawa przyjęła zdobywców.

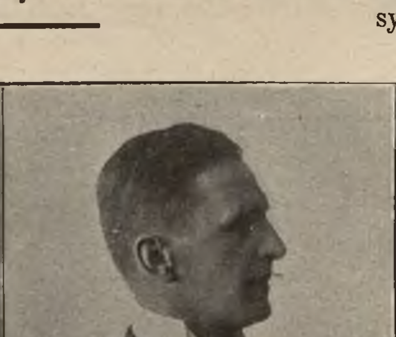
Ze ludność Warszawy zrozumiała powagę chwili i pomimo ucisku dorosła do życia politycznego, świadczą wymownie fakta. Po ustąpieniu Rosyan w ciągu dwóch godzin zorganizowano już milicyę obywatelską, która utrzymuje wzorowy porządek. Zajęto się przytem uniwersytetem, politechniką, a na utworzenie szkolnictwa polskiego, pomimo tak ciężkich czasów, złożono w ciągu tylko jednego dnia 100.000 rubli. Stanęły też od razu pod bronią liczne szeregi Legionistów, zmobilizowanych już pod rządami rosyjskimi.

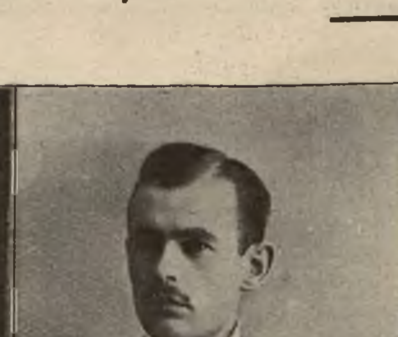
Koncert dla rannych Legionistów.

(Do illustracyi na stronie 10).

W szpitalu wojskowym, pomieszczonym w gmachu krakowskiej fabryki cygar, odbył się koncert dla rekonwalescentów i rannych Legionistów, urządzony pod artystycznym kierunkiem znanej pianistki pani Ludwiki Grodzickiej, a za inicyatywą panny Lucyny Spornówny, gorliwej działaczki z sekcyi Czerwonego Krzyża.

W pięknie udekorowanej sali słuchali oprócz zaproszonych gości koncertu wszyscy Legioniści, znajdujący się w Krakowie, których chór rozpoczął koncert. Spiewem solowym czarowała słuchaczy panna Pisarska, śpiewaczka operowa. Na fortepianie produkowała się pani Ludwika Grodzicka oraz jej uczenice panny Wilkoszówne, ze znaną brawurą i zrozumieniem interpretując dzieła swojskich kompozytorów, a prof. Wygrzywalski pięknie grał na skrzypcach. Legionista Maryan Krasnodębski po wzniosłej deklamacyi dziękował imieniem kolegów paniom, urządzającym koncert, za spędzone w tak podniosłym duchu chwile, które pozostaną na zawsze w ich pamięci.


Opera w Krakowie:
Antoni Isakowicz. Hugo Zathey, kierownik administracyjny. F. Bodnicka. Olga Stolfowa. Adam Mazanek. Józef Stępniowski.

Kronika tygodniowa.

Pan Bóg łaskawy jest przecież na kronikarza! Od soboty wieczór chodziłem jak struty, szukając materyału do następnej kroniki, którą niegodziwy pan metrampaż chce mieć już w poniedziałek, nie uwzględniając okoliczności łagodzącej, iż nie tylko szewcy lubią obchodzić *blaumontag!*

A tu, jak na złość, nic nowego a ciekawego wydarzyć się nie chce. Ciągle to samo, jak to mówią „w koło Macieju". Jedna i druga walcząca strona, co wylezie z jakiegoś odcinka, to pakuje się do drugiego, donoszą o tem zresztą pisma codzienne, dla kronikarza więc tygodniowego nic z tego nie zostaje.

I niewiele już brakowało, a byłbym się rzucił z rozpaczy we Wisły srebrne (czytaj: mętne!) fale, w sam czas przypomniałem sobie przecież choleryczny zakaz pana fizyka miejskiego i wróciłem do domu.

W niedzielę rozpacz ta spotęgowała się jeszcze bardziej, zwłaszcza, że znajomi tu i ówdzie pytali, jakby się na mnie uwzięli, o czem też napiszę w przyszłym tygodniu.

— Nie wiem! — odpowiadałem każdemu, a mówiłem prawdę, na razie bowiem został mi tylko koniec poprzedniej kroniki, ucięty przez metrampaża z powodu braku miejsca, a jako mający ścisły związek z nią, zasługujący też na to, bym go tutaj dosłownie powtórzył.

Odnosiło się to do owego nakazu chodzenia na lewo, a brzmiało:

Zgłosił się do mnie pewien studencik, który właśnie w tym czasie złożył maturę i teraz jest w kłopocie, co ma ze sobą zrobić.

Prosił mnie o poradę i naturalnie jej nie odmówiłem.

— Proszę pana kronikarza — tak narzekał — wyszedłem onegdaj z gimnazyum, gdzie złożyłem egzamin dojrzałości z odznaczeniem, zadowolony, że świat teraz stoi przedemną otworem i że będę mógł raz przecież robić, co mi się podoba. A tu widzę przed sobą napis: „Iść na lewo!"... Trzeba zaś wiedzieć, że ja chcę iść właśnie na prawo, tak sobie bowiem życzy i mama i tato i ciocia. Powiadają wszyscy, że będę byczym adwokatem, proszę pana, i zrobię kolosalny majątek, niech się tylko skończy moratoryum! Teraz nie wiem, co począć, bo rozporządzenie mówi wyraźnie, że niestosujący się do niego będą pociągani do odpowiedzialności!

— Nic pan sobie z tego nie rób, młody człowieku! — ja mu na to — Idąc ulicą, idź pan na lewo, po wakacyach zaś na uniwersytecie na prawo, tak, jak chce tato, mama i ciocia, gdy zaś zostaniesz adwokatem, pamiętaj o mnie i nie przyjmuj spraw przeciw mnie...

Obiecał, czy jednak dotrzyma, nie wiem, bo to dziś nawet narybkowi adwokackiemu wierzyć nie można.

Tyle, łaskawi moi Państwo, zostało z poprzedniego tygodnia, poza tem nic!

Szukałem wobec tego natchnienia i tu i tam, próbowałem je podsycić w różny sposób, ale i to na nic się nie zdało.

Dopiero w niedzielę wieczór, gdym już myślał o innym sposobie odebrania sobie życia, słyszę, jak opowiadają przy sąsiednim stoliku o strasznej katastrofie, jaka miała miejsce w pływalni w Parku Krakowskim, a która pociągnęła za sobą setki, czy nawet tysiące ofiar... Tak przynajmniej głosiła poczta pantoflowa, której ja, niewierny Tomasz, nigdy z zasady nie dowierzam, chyba, że się o tem sam na własne oczy przekonam, bo uszy nie wystarczą w tym wypadku.

W pierwszej chwili ogarnęła mnie radość. Weronisia wybierała się bowiem na to niezwykłe widowisko, potem przygnębienie. Przypomniałem sobie, że została popołudniu w domu, gdyż zapowiedziały się jej trzy przyjaciółki na kawę, zastrzegając się, że przyniosą najświeższe wiadomości z całego miasta. A któraż kobieta nie jest na to ciekawą, co porabiają jej bliźni, a zwłaszcza bliźnie?...

Nie poszła więc, a wielka to szkoda, któż bowiem wie, czy dziś nie byłbym już wdowcem, upominającym się o grube odszkodowanie z powodu utraty najdroższej żony, której wartość tak tylko w przybliżeniu obliczam co najmniej na jakie sto tysięcy i to guldenów, nie roszcząc sobie już pretensyi do tego, co mnie kosztowało jej wyżywienie i okrycie przez trzydzieści lat wspólnego pożycia!

Miał więc Kraków katastrofę, wprawdzie nie morską, ale w każdym razie mokrą.

Jak się zaś rzecz miała, opowiem, opierając się na relacyi poniedziałkowej „Nowej Reformy" i zeznaniach specyalnego sprawozdawcy, który się, dzięki Bogu, także nie utopił.

Kraków, jako miasto postępowe, urządza od czasu do czasu różne widowiska, jakich ojcowie i matki nasze nie znali. Do nich zaliczyć należy zawody pływackie w Parku Krakowskim, które przyszły do skutku dzięki zabiegom uczniów III. gimnazyum. Ponieważ zaś miały w nich udział wziąć i kobiety, co w Krakowie, gdzie tak zwane *familienbady à la Gänsehäufel* we Wiedniu są nowością, wybrały się w niedzielę do pływalni setki ludzi różnego wieku, rodzaju *ergo* i tuszy, jest bowiem rzeczą wskazaną kształcić smak estetyczny widokiem pięknych kształtów *in natura*, bo tej sztuka nigdy zastąpić nie potrafi.

Zwłaszcza słomiani wdowcy (dość ich teraz mało w Krakowie) stawili się *in corpore*, nie brakło też, by dać dobry przykład młodzieży, młodszych i starszych profesorów, nie brali jednak czynnego udziału w zawodach, śledzili tylko wprawnem okiem zgrabne ruchy i okrągłe kształty — zwłaszcza uczestniczek konkursu...

Galeryę stanowili ciekawi, którzy z ulicy, przez szpary w płocie spoglądali do wnętrza i ci wyszli najlepiej, nic im się bowiem nie stało, choć nic nie zapłacili, gdy tymczasem widzowie z płatnych miejsc wyszli całkiem na mokro.

Przy tej sposobności muszę wyrazić zdziwienie, że magistrat, który ciągle szuka nowych źródeł dochodu, nie wpadł jeszcze dotąd na genialny pomysł, by od publiczności, stale przez szpary zaglądającej do pływalni, zwłaszcza w czasie, gdy kąpią się niewiasty, ściągać pewną opłatę. Byłby z tego profit wcale niezgorszy, codziennie jeżdżę tamtędy tramwajem i widzę stale co najmniej dziesięć osób różnego wieku (przeważnie mężczyzn), którzy godzinami całemi stoją przy płocie, jakby doń przyrośli i, użyjmy słów poety, zamienionych w oko!

Zawody się rozpoczęły, publiczność przecież, jako iż ona nigdy nie lubi się zastosować do zarządzeń, o czem już poprzednio wspomniałem, natłoczyła się na drewnianym pomoście nad stawem, by stąd lepiej wszystko widzieć Byli tu mężczyźni, były i niewiasty, nie brakło i dzieci, słowem, wszystkie trzy rodzaje gramatyczne były należycie reprezentowane.

Pomost jednak, nieco już stary i zbutwiały, nie mógł wytrzymać ciężaru tylu krakowskich wielkości i trzasnął na przestrzeni coś piętnastu metrów, co wcale nie było objęte programem, widzowie zaś znaleźli się we wodzie... Gwałt, krzyk, lament nie do opisania, coś w kształcie sądu ostatecznego w chwili, gdy potępieńców ma się już ewakuować do piekielnej czeluści...

Rzucono się na ratunek, zatelefonowano po straż ogniową i pogotowie.

Odważniejsi zaczęli wyciągać topielców, pracowali przy tem tak mężczyźni jak i niewiasty, odznaczyła się szczególniej jedna z nich, która uratowała życie kilkunastu, przeważnie kawalerom, wiedząc, jak o nich teraz trudno w tych wojennych czasach...

Gdy już wszystkie ofiary były na brzegu, spuszczono wodę, by się przekonać, czy się kto na prawdę nie utopił, nie natrafiono przecież, dzięki Bogu, na żadne zwłoki, znaleziono natomiast kilka lasek, parasoli, parasolek, torebek damskich. portmonetek, nadto jedną turniurę starego systemu i męską (tak pisze Reforma) perukę. Po wszystkie te przedmioty zgłosiły się w kancelaryi zarządu osoby, będące ich właścicielami z wyjątkiem właścicielki turniury i właściciela peruki, co nasuwa przypuszczenie, iż obydwoje albo wstydzą się swej zguby, albo też znaleźli śmierć w odmętach, ciała ich zaś spłynęły przy spuszczaniu wody.

W tym kierunku wdrożono śledztwo i rozpoczęto poszukiwania, służba przecież twierdzi, iż skonstatowała, że z pływalni wychodził jeden łysy więcej, niż ich naliczono przy wejściu, był zaś należycie mokry.

Jeśli więc można by to samo powiedzieć o właścicielce turniury, w takim razie bez ofiar w ludziach się w zupełności obeszło, skończyło się zaś tylko na strachu i przemoczeniu, co w każdym razie nie powinno ostudzić zapałów komitetu, zajmującego się urządzeniem tego rodzaju popisów, będących dla Krakowian czemś niezwykłem. W komitecie musiał być jednak ktoś, co ma pecha, i tego trzeba się stamtąd pozbyć.

Ponadto zauważył mój informator, iż teraz dopiero okazała się cała wyższość dawnych krynolin nad używanemi obecnie obcisłemi sukniami, które zmoczone, oblepiają się tylko koło nóg i utrudniają ruchy. Krynolina, mogąca przy spadaniu n. p. z balonu grać rolę pewnego rodzaju spadochronu, w tym wypadku zastępuje doskonale pas bezpieczeństwa.

Pewna dama, ubrana w ten niemodny, aczkolwiek bardzo praktyczny i zdrowy strój, wpadłszy razem z innymi do wody, nie poszła na dno, jak oni, pływała natomiast spokojnie po jej powierzchni. Ponieważ zaś nie straciła fantazyi i przytomności, użyła parasolki zamiast wiosła i po chwili bezpiecznie dożeglowała do brzegu, gdzie ją wyciągnięto.

Zbawcą był młody mężczyzna, podziękowała mu też serdecznie słowy:

— Tobie zawdzięczam swe życie! Weź je.. jestem wdową!

— Bardzo żałuję — odparł z grzecznym ukłonem — nie mogę jednak skorzystać z oferty, gdyż już jestem żonaty...

— Jaka szkoda! — westchnęła i poszła się suszyć.

Zastrzegam się, że na miejscu sam nie byłem, powtarzam zaś tylko to, co mi powiedział wiarogodny świadek naoczny i co wyczytałem w równie wiarogodnej *Nowej Reformie*, której tyle tylko mógłbym zarzucić, iż jest trochę niedyskretną, wspominając wyraźnie, że to była męska peruka. Jeśli więc wkradła się do kroniki jakaś mała niedokładność, ja winy absolutnie nie ponoszę!

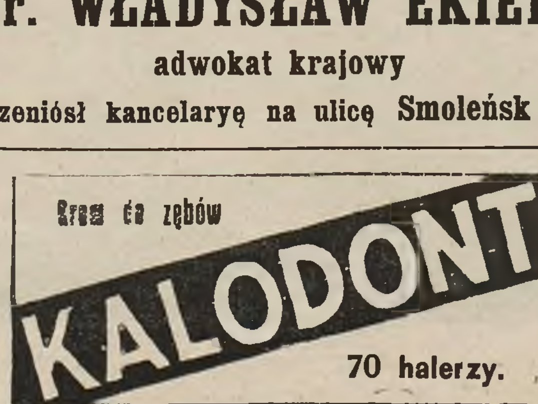
Publiczność zaś krakowska, która była w pływalni i wróciła cało do domu, niech pamięta na przyszłość, że nie powinno się łazić tam, gdzie nie proszą — w tym wypadku na zbutwiały pomost nad wodą — bezmyślne bowiem pchanie się w takiem miejscu może ją narazić tylko na katastrofę. Dzięki Bogu, że tym razem skończyło się na niczem, kiedyindziej może być gorzej! Jak zaś u nas lekceważy się wszelkie zarządzenia, wiem to najlepiej sam na sobie, nieraz już bowiem wróciłem do domu z różnych obchodów z poobijanymi bokami i sińcami na różnych częściach ciała, choć nigdy nie pcham się w tłum, ale zawsze szukam bezpiecznego odcinka.

Tyle chyba dosyć, zwłaszcza, że kilka słów muszę poświęcić i polityce, gdyż także w niedzielę dowiedziałem się, iż Włochy wypowiedziały wojnę Turkom (tak kazała królowa Helena swemu Emanuelkowi, a ten jej słucha), a lord Kitchener odbył przegląd wojsk angielsko-francuskich, z której to okoliczności korzystając, wygłosił minister Millerand mowę płomienną, zaznaczając, iż parlament i rząd francuski są jednej myśli, jak nigdy dotąd i zdecydowały się nie złożyć broni, aż cel zostanie osiągnięty, gdyż celem ich usiłowania jest uwolnienie świata.

Jak oni pojmują to uwolnienie, zapomniał przecież powiedzieć, jeśli bowiem tak, jak to w Galicyi czynili Moskale, którzy chwalili się, iż nas idą uwolnić, lub czynią wciąż Anglicy, w takim razie serdecznie im dziękujemy i radzimy, by sobie z tem dali raczej spokój. Takich przyjaciół nie potrzeba, przypomina się człowiekowi stare przysłowie: "Chroń mnie Boże od przyjaciół, bo z nieprzyjaciółmi jakoś sobie sam dać radę potrafię"...

Nowa wojna nie przyda się jednak na wiele, koniec bowiem ogólno światowej zapowiedziany jest na dzień 24. września b. r. Tak przynajmniej orzekł nowy prorok (rodzą się, jak grzyby po deszczu). Jest nim jakiś furwez, podobno, jak dotąd, nieomylny. Co dotąd przepowiedział, spełniło się pono co do joty, za co zebrał (tak w gazecie czytałem na własne oczy) przeszło dwieście pięćdziesiąt koron.

Jeśli się i teraz nie pomylił, obiecuję mu jeszcze większe wynagrodzenie i to z własnej swej szkatuły, która na razie jest wprawdzie zupełnie próżna, po wojnie przecież powinna się napełnić. Gdyby natomiast i to proroctwo miało się nie spełnić, oświadczam najuroczyściej, iż z dniem tym przestaję wierzyć wszystkim Pitym, tak cywilnym i wojskowym, jakiegokolwiekby one były rodzaju.



Zagadki do nagrody.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Co i Kuba gęś w lipie zdybał? I! U!

Logogryf.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół, poda imię i nazwisko polskiego powieściopisarza.

— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —
— — □ — —

Znaczenie wyrazów: 1. Zwierzę domowe 2 Pęd skrócony u roślin. 3 Roślina egzotyczna. 4. Przyrząd do gry. 5. Wehikuł. 6 Gatunek wina. 7. Zwierzę domowe. 8. Żołnierz rosyjski. 9. Miejsce zapasów. 10. Motyl. 11. Część ubrania. 12 Zasłona na twarz. 13. Kwiat polny. 14. Rodzaj gleby.

Szarada.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Pierwsze przyimek. Ojciec *drugie-trzecie*
Syna, by dobrze było mu na świecie,
Czwarte i piąte zawsze u rolnika
I w gospodarstwie wiejskiem się spotyka.
Wszystko, mężowie, co z zaparciem siebie
Pracują często na niewdzięcznej glebie.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

Sowo! Ćmo! Wnuku! K modlitwom!

Przysłowiówka.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z każdego przysłowia wyjąć jedną zgłoskę i ułożyć z nich nowe polskie przysłowie:

1. Jakie pytanie, taka i odpowiedź.
2. Jedz durniu, bo to z makiem.
3. Jaką miarką mierzysz, taką ci odmierzą.
4. Cnota sławą się płaci.
5. Jedna jaskółka nie przynosi wiosny.
6. Bez ochoty niespore roboty.
7. Mało zysku, dużo krzyku.
8. Zbytek kazi pożytek.
9. Na złodzieju czapka gore.

Zadanie konikowe.
Ułożył A. Marczyński, Kraków.

po	dar	la	giej	sto	ny	ca	ska
czór	mor	la	sztan	łe	z dru	ją	stro
wia	sy	łan	ci	do	ne	dziar	tnią
dy	wie	la	czerń	ska	zło	nej	groź
cią	ry	tar	Po	dwa	wa	tę	dzież
ry	krew	stra	het	ta	bo	bor	z jed
si	grą	ża	o	szli	ska	mło	zy
po	i	wy	woj	man	wo	zy	ta

Okienko.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Litery poprzestawiać w ten sposób, aby utworzyły wyrazy, równobrzmiące w kierunku pionowym i poziomym.

a a e e e
e e e
e l n n n
o o s
s s s s s

Znaczenie wyrazów: 1. Miasto w Niemczech. 2. Roślina lekarska. 3. Szczyt tatrzański.

Zadanie do przestawienia.
Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na depeszy ułożyć znane polskie przysłowie:

A mnich psa, a żyd świni oka chce.

Bilety wizytowe.
Ułożył K. K., Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób.

KS. LYPKE NOWOJOWA
O. PYLIPOW BUSK.
O. PŁYCZNOW UKRAINA.
EKS. MANTINI.
TYSID MEINY DE CZARTORIA.

Uwaga: Autor, narzekając, iż dotychczasowe bilety były czasem zbyt trudne do odgadnięcia, wyraża ciekawość, czy też autorowie ich odcyfrują powyższą seryę.

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Stan Przybyszewskiego:* **Wyzwolenie.** „Mocnego człowieka“ część II Powieść.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 33.

Trójkąt magiczny:

G a w a l e w i c z
A g n i e s z k a
W a r o w n i a
A m e r y k a
L o n d y n
E p o k a
W a z a
I n n
C h
Z

Równanie:

Raba + Łukasz + Słowacki = Bałucki
Blacha + Langie + Pierzyna = Blag erzy.

Trójkąt magiczny:

P i e t r z y c k i
I n d a g a c y a
E n t o l i t y
T r ó j k ą t
R e d u t a
Z o f i a
Y v o n
C e p
K u
I

Zagadka: But.

Logogryf:

B a ś ń
O k o ń
L a n r
E d e n
S y ł f
Ł u n a
A n y ż
W n u k
P u c h
R y ż y
U c h o
S ł ó j

Zadanie do przestawienia: Każdy sobie rzepkę skrobie.

Okienko:

W a ł e k
a ó r
ł ó d k a
e k b
k r a b y

Bilety wizytowe: Brygadyer. Bibliotekarz. Akompaniator. Intendant brygady. Komisarz klimatyczny.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: D. Sedyńska Kraków, S. Krzyżanowski Podgórze, J. Charzewski Kraków, S. Wysoczański Poznań, M. Planecka Kraków, Z. Sperling Wiedeń, M. Sokołowska Kraków, S. Karwowski Gniezno, H. Bukowska Winnica, R. Topolnicki Wiedeń, B. Osadziński Krosno, D. Bernatowicz Jasło, M. Kalinowska Mor. Ostrawa, T. Nikiel Kraków, F. Horak Oświęcim. S. Medyński Zakopane, D. Schwadron Kraków, J. Stępień Budapeszt, S. Galiński Praga, K. Reichenberg Cieszyn, M. Raszka Cieszyn, J. Zachara Mielec, K. Wyka Biała, K. Makowski Zakopane, J. Jakubowska Kraków, R. Obraczay Morawska Ostrawa, J. Lipski Kraków, A. Gralewski Kraków, H. Mańkowski Wiedeń, J. Górka Kraków, H. Wincencik Kraków, A. Dużak Kraków, J. Antosz Tarnawa, H. Kozicka Tarnawa, S. Wilczyński Kraków, S. Mróz Wiedeń, S. Wiewiórowski Poznań, B. Antosz Wiedeń, K. Ohrenstein Podgórze, Z. Zacharska Nowy Sącz, J. Opolski Praga, A. Siatka Kraków, M. Kowalska Kraków, J. Wysoczański Jasło, R. Wolański Wiedeń, I. Brzostowski Podgórze, H. Trojacka Wiedeń, A Waga Kraków, K. Langer Berno. S. Wolańska Przemyśl, J. Wojciechowski Rzeszów, Z. Bartmańska Gmunden, S. Milski Tarnów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **D. Bernatowicz, Jasło.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Kącik humorystyczny.

Po co?

— Jakto? Więc mnie pan nie poznaje? Byłem przecież na pańskiem weselu!

— Poznaję już! Poznaję! Ale pocóż mi pan przypominasz tak smutną chwilę z mego życia?... To jedno z największych głupstw, jakie kiedykolwiek popełniłem!

W knajpce.

(Podsłuchana rozmowa).

— A ja radcy powiadam, że Moskale z umysłu informują świat o swych rzekomych zwycięstwach!

— Ja zaś twierdzę, że tak nie jest! Oni tylko donoszą o nich zbyt późno, ale to już nie jest ich wina, ale kalendarza juliańskiego, który jest od naszego późniejszy o czternaście dni!

W sądzie.

— Czy oskarżony nazwał pana także osłem?

— Nie, panie sędzio... Tylko tak w ogólności... bydlęciem!

Co zrobi?

Facet oświadcza się o rękę bogatej panny.

— Powiedziałam panu, że ja za mąż wcale nie wyjdę!

— A cóż pani w takim razie zrobi z posagiem?

Przy obiedzie.

Mąż: Pfe! Tą zupę czuć mydłem!

Żona: E... Ty zawsze grymasisz, nic ci nie smakuje!... (kosztując)... Stanowczo i dziś nie masz racyi, czuć ją, ale tylko troszkę... i to naftą!

Złośliwy.

Matka kołysze córeczkę i śpiewa jej: „Spij, aniołku. spij!“...

Słysząc to, mały, sześcioletni braciszek, Kazio, mruczy pod nosem:

— Tak!... Aniołku!... A jak podrośniesz, to dostaniesz kijem...

To rzekłszy podrapał się w odrotną stronę medalu, gdyż właśnie przed chwilą odbyła się egzekucya.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor.: M. Lipińska Klisze własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.